

Diabelskie kamienie (Będzin)

Przy budowie kościółka na Dorotce zdarzało się, że to, co murarze jednego dnia wybudowali, zostało w nocy rozburzone. Gdy ówczesny pleban ks. Lipnicki zauważył psoty, postawił straż nocną przy budowie, z poleceniem ujęcia sprawców. Pierwszej nocy wartownicy nic i nikogo nie zauważyli. Na drugą noc, około północy, usłyszeli jakieś okropne szумы w powietrzu, a za chwilę spostrzegli, jak kawały skał zaczęły spadać dokoła budującego się kościółka.

Przestraszeni strażnicy puciekali ze swych stanowisk, a rano rozniosła się po osadzie wieść, że złe duchy znoszą kamienie, aby nimi zburzyć budującą się świątynię. Ksiądz pleban oglądając kamienie, postanowił egzorcyzmami przepędzić złe duchy ze wzgórza. W najbliższą niedzielę z procesją wyruszył z kościoła na wzgórze i tu wśród modlitw poświęcił jeszcze raz szczyt góry na cztery strony świata.

Gdy wieczór się zbliżył, wyszli wartownicy na swoje miejsca, by pilnować rozpoczętej roboty. Do północy cisza panowała dokoła. Lecz o samej północy znów coś straszliwie zaszumiało. Od strony północnej zjawiała się zgraja czarnych diabłów. Spadłszy na polanę otaczającą budowlę, już uchwycili w pazury olbrzymie kamienie, aby nimi zburzyć mury świątyni. Lecz w tym momencie od wschodu pojawiło się kilka aniołów, które rozpoczęły walkę z szatanami, wytrącając im z łap kamienie z taką siłą, że spadły aż w okolicach Siemianowic, gdzie do dzisiaj leżą potłuczone na mniejsze odłamki, na przestrzeni kilku mil z widocznymi śladami pazurów.

Część naznaczonych przez szatany kamieni, dotychczas oglądać można obok murów kościółka na Dorotce. Ale od tego czasu już złe duchy więcej nie ukazały się na wzgórzu i nie przeszkadzały w dokończeniu budowy kościółka.

Fiołki królowej Jadwigi (Dąbrowa Górnicza)

Już za czasów królowej Jadwigi, miała stać na wzgórzu Gołonoga kapliczka, w której był obraz cudami słynący. Dowiedziała się o nim Jadwiga, żona Jagiełły i pewnego razu wybrała się na pielgrzymkę do kapliczki w Gołonogu.

Skalna góra była wówczas znacznie wyższa, a stoki jej zawałone odłamkami kamieni. Dostęp na szczyt był bardzo utrudniony, lecz królowa nie zważała na to, tylko przybywszy na miejsce, zdjęła obuwie, postanawiając wyjść na szczyt bosą.

Towarzyszący królowej dwór odradzał swej pani podróż na bosaka, lecz nie na wiele się to przydało. Rozpoczęła się podróż na szczyt wzgórza. Wszyscy z trwogą spoglądali na boscie nóżki monarchini i czekali, że rychło poleje się krew z nóg pokaleczonych ostrymi odłamkami skały. Lecz o dziwo, patrząc ludzie i oczom nie wierzą! Gdziekolwiek spocznie stopa bosych nóg królowej, tam wszędzie wyrasta trawa i kępy precudnych, wonnych fiołków.

Zdumiony dwór skwapliwie zdejmując obuwie i w wielkiej pokorze kroczy bosą za swą panią. Tak doszli do kościółka, co stał na górze, w tym miejscu, gdzie dzisiaj widnieje maleńka kapliczka na cmentarzu. Od tego czasu nie uświadczy się fiołków w okolicy, tylko na górze gołonoskiej.

Tajemnicze barany (Sosnowiec)

Idąc z Sosnowca do Zagórza, na skraju wsi po prawej stronie drogi, widnieje mały kopiec ułożony z kamieni, na szczycie którego sterczy żelazny krzyż. O tym kopcu tak legenda opowiada:

Było to mniej więcej przed stu laty. Ówczesny dziedzic Zagórza za namową swej małżonki postanowił wzniesić w wiosce kościół. Wybrał w tym celu plac, na którym obecnie widnieje kopiec. Plac ten jednak nie spodobał się żonie pana Mioszewskego, która pragnęła wzniesić kościół w pobliżu starożytnej kapliczki. Na tym tle przyszło do sporów między małżonkami, które czasem przybierały gwałtowny charakter.

Ostatecznie Mioszewski postawił na swoim. Wyzначył plac, z wielką uroczystością poświęcił i zaczął zwozić kamienie na fundamenta. Zaledwie kilka fur zwieziono, gdy w nocy zjawiły się na placu tajemnicze barany, które rogami i głowami rozwaliły kupę kamieni, a następnie dziwnym sposobem poodciągały je w różne strony. Świadkowie tego zdarzenia opowiedzieli je dziedzicowi. Ten najpierw obatożył opowiadających, a potem poszedł przekonać się o prawdziwości zdarzenia. Przybywszy na miejsce, zobaczył rzeczywiście porozwalane i porozrzucane głazy. Kazał je natychmiast poznosić na swoje miejsce, a na noc postawił przy nich silną wartę.

I cóż się stało? W nocy zjawiły się tajemnicze barany, pobodły i potłukły wartowników, że z wielkim strachem i guzami puciekali z placu, roznosząc panikę po wsi. Dowiedział się o tym Mioszewski i sam wśród nocy pobiegł na plac. Zaledwie znalazł się na miejscu, gdy doskoczył jeden baran, trzasnął w dziedzica rogami, aż koziołka wyrzucił i przepadł w ciemności.

Potłuczony dziedzic, zrezygnował z budowy kościoła na wybranym przez siebie miejscu i zgodził się na plac wyznaczony przez żonę.

Od tego czasu tajemnicze barany już więcej nie pokazały się nikomu. Na miejscu zaś wydarzenia, po wybudowaniu kościółka (w tym miejscu, gdzie stoi on do dziś) postawiono krzyż wśród kamieni, które były przeznaczone na budowę świątyni.

Rycerz Benda (Będzin)

Za czasów Bolka Chrobrego żył rycerz nad rycerze, co się zwał Benda. Był on nieodstępnym towarzyszem we wszystkich wyprawach wojennych króla, jakie tenże przedsięwziął celem zjednoczenia plemion słowiańskich pod swoim berłem.

Za ofiarą i wierną służbą otrzymał w darze szmat puszczy nad Czarną Przemszą wraz z kilku osadami, które w guszy leśnej, tu i ówdzie się usadowiły. Zjechawszy na objęcie darowizny, długo szukał miejsca, na którym mógłby wzniesić dla siebie siedzibę.

Razu pewnego znalazł się pod górą będzińską. Spozrzegłszy zwały skał, piętrzących się wysoko ponad lasy okoliczne, postanowił wśród nich zbudować sobie dworzyszczę. Postanowienie wkrótce wprowadził w czyn. Nie dysponując dostateczną liczbą ludzi, potrzebną do wzniesienia zamczyska, rozesłał po puszczy służbę z poleceniem, aby po woli czy niewoli, zegnała ludność osad pod górę.

Gdy się to stało, rozkazał spędzonym ciąć modrzewie, łupać skały, a potem pod swym osobistym dozorem budować grodzisko. Gdy je po długich i ciężkich znojach wzniesiono, rozpuścił gromadę do domów, nie dawszy nikomu nawet bodaj najlichszej zapłaty.

Była to pierwsza krzywda, jaką wyrządził tym, którzy jeszcze wczoraj czuli się wolnymi wśród rozległej puszczy. A później, za pierwszą, poszły inne, coraz większe, coraz cięższe. Lud jęczał uciskany przez pana i

jego służbę, przeklinał chwilę, która z ludzi wolnych uczyniła ich niewolnikami. Tak trwały długie lata i miarka się przebrała.

Z woli Bożej spadło na okrutnika i ciemżyciela ludu nieszczęście. W jednym dniu stracił żonę i wszystkie dzieci, które zmiądzzył odłam spadającej skały. Po tym wypadku skruszony okrutnik zniknął z zamku na zawsze. Od tegoż to Bendy, jako powiada legenda, tak zamek, jak i miasto otrzymały nazwę Bendyn, która później zmieniła się w Będzin.

Wróbla wieś (Sosnowiec)

Niegdyś Porąbkę zwano „wróblą wsią”, a to z tego powodu, że tak w wiosce, jak i w okolicy najbliższej, przebywały gromady wróbli, które swoim świergotem wyczyniały takie piekło, aż uszy puchły.

Toteż, gdy Fryderyk Wielki patentem z dnia 8 kwietnia 1744 roku wprowadził na obszarze swego państwa podatek w naturze w postaci główek wróbli (każdy mieszkaniec obowiązany był dostarczyć 6 wróbli, ogrodnicy 8, owczarze, pastuchy i inna służba po 4 wróble rocznie, za każdego niedostarczonego wróbla ściągano przymusowo jeden grosz), to Ślązacy z Mysłowic i pogranicznych wsi śląskich wędrowali do Porąbki i tutaj kupowali wróble, płacąc za trzy do czterech sztuk jeden grosz.

Przez dwa lata mieszkańcy wioski tłukli bez miłosierdzia nieszczęsne wróble, sprzedając je Ślązakom, aż wreszcie nie zostało ani jednego, bowiem niedobitki opuściły niewdzięczną osadę.

Przez długie lata w wiosce głucho było w porze letniej, a także i zimowej. Nie słyhać byto krzyku ćwierkałów, nie słyhać było śpiewu i świergotu ptasząt, które omijały instynktownie wioskę, gdzie na ich życie czatowano dla marnego zysku. Dopiero w kilkanaście lat później zaczęło ptactwo powracać do wioski.

Dęby wisielców (Dąbrowa Górnicza)

Było to, ot jako zwykle, przed wielu laty. Na wschód od Starej Dąbrowy szumiały potężne bory iglaste i liściaste, pełne bagien, moczarów i sapisk, poprzez które wiła się droga do Olkusza.

W tych to lasach, w miejscu gdzie dziś stoi stacja Zagórze, miała istnieć knieja, do której prowadziła przez bagna ścieżka zwana diabelską. Knieja była siedliskiem zbójców, którzy często napadali na kupców jadących traktem do Olkusza lub Będzina. Po każdym takim napadzie można było spotkać wisielca na którymś z dębów, co rosły przy drodze. Owi wisielcy, to ofiary rozbójników, którzy każdego kupca, broniącego swego mienia, wieszali.

Z powodu tych niecznych praktyk zbójceckich, dęby rosnące przy drodze zwano dębami wisielców. Zbójcy zrabowane mienie przechowywali w jakimś budynku, co stał (po lewej stronie stacji Zagórze) na usypanym kopcu, oraz w studni stojącej obok. Opowiadano mi, że jeszcze w latach 70-tych ubiegłego wieku na owym kopcu widoczne były ślady murów budynku, zaś na zbocz kopca widniała studnia dość głęboka. Opryszki długi czas grasowali po okolicy, aż wreszcie ich ujęto i powieszono na dębach, podobnie jak oni to czynili ze swymi ofiarami. Ale ich skarby ogromne, ukryte w tajemniczych miejscach kopca i studni, spoczywają dotychczas na swoim miejscu i czekają na odkrywcę.

Złoty ołtarzyk (Czeladź)

Było to jeszcze za czasów pogańskich. Na wzgórzu, gdzie obecnie stoi kościół czeladzki, istniało zglisko, gdzie na on czas palono ciała zmarłych i czyniono ofiary. Później, na owym zglisku, już za czasów biskupa krakowskiego Rachelina (1034 -1047) miała ponoć stanąć kaplica, w której ustawiono mały złoty ołtarzyk.

Gdy w roku 1038 z jednej strony zbliżały się w te strony hordy Brzetysława czeskiego, a z drugiej bandy buntowniczych naroczników, wyniesiono z kaplicy ów mały złoty ołtarzyk i zakopano go w szczelinie na zboczu wzgórza. W parę dni później zgorzała kapliczka, podpalona przez żołdaków Brzetysława, a w miejscu jej odżyło znowu zglisko, wzięte w posiadanie przez pogańskich naroczników. Gdy zaś chciwy Brzetysław dowiedział się, że w kapliczce znajdował się złoty ołtarzyk, posłał ludzi zbrojnych, aby go za wszelką cenę odszukali i przywieźli ze sobą.

Szukano długo, powycinano na wzgórzu odwieczne sosny i dęby, rozkopywano ziemię, rozbijano skały, lecz nadaremnie – ołtarzyka złotego nie znaleziono. Gdy ucichł bunt wzniecony przez pogan, a na stolicy biskupiej w Krakowie zasiadł Stanisław Szczepanowski, na wzgórzu jeszcze uprawiano pogańskie praktyki, choć po kryjomu.

Dowiedział się o tym świętobliwy biskup w czasie jednej z podróży po diecezji i gdy znalazł się koło dzisiejszego Będzina, zawitał i na czeladzkie zglisko. Tutaj i jemu opowiedziano legendę o dawnej kapliczce i złotym ołtarzyku. Biskup Szczepanowski nie namyślając się wiele wznosił na czeladzkim wzgórzu własnym kosztem nową kaplicę i polecił odszukać zakopany ołtarzyk.

Na próżno jednak trudzono się, ołtarzyk przepadł i dotychczas leży wraz z innymi drogocennymi rzeczami w pieczarze, która ma się ponoć znajdować głęboko w skale wzgórza kościelnego.

Natomiast nowa kaplica, postawiona przez biskupa-męczennika św. Stanisława Szczepanowskiego, dała początek kościołowi i parafii czeladzkiej.

Duch Kazimierza Mieroszewskiego (Będzin)

Błękitna Ludwika to niejedna zjawą gzychowskiego pałacu. Koło północy, w księżycową noc, w pałacowym parku spostrzec można sylwetkę mężczyzny stojącego pomiędzy rzeźbami Bachusa i Flory. Jest to Kazimierz Mieroszewski we własnej osobie, pan który ów pałac kazał zbudować i dbał o jego świetność. Za młodu gustował w hulankach i swawolach. Gdy ukończono budowę, kazał postawić rzeźby Bachusa – greckiego boga ekstazy i wina – oraz Flory – towarzyszkę jego swawoli – w parku, jako symbol swoich upodobań.

Razu pewnego mieszczanie zgorszeni poczynaniami swawolnego i rozpustnego pana, poszli ze skargą do miejscowego plebana. Ten zaś udał się do Kazimierza, by go odwieść od hulaszczego życia grzesznika. Jednak, gdy pan plebana przyjmował, na wskutek nadmiaru wypitego wina i niekompletnego ubioru, gościa uraził. Napomniany imieniem Bożym, plebana obelgami obrzucił i zagroził, iż każe go po parku włóczyć.

Przerażony sługa Boży, uciekając, przeklął rozpustnika. Za karę, po śmierci, miał spędzać noce w towarzystwie posągów. Miał rozmyślać o swoich grzechach i żałować swych win. Rankiem zaś, gdy pierwszy kur zapieje, miał przybywać po niego dwugłowy koń, by zabrać go z powrotem do czyśćca. Czas płynął. Mieroszewski ustatkował się i ożenił. Kolejny pleban zdjął klątwę, niestety już po śmierci Mieroszewskiego. Na przebaczenie dla Kazimierza było już za późno i klątwa zachowała swą moc.

Dlaczego Wojkowice?

Koło XI, a może XII wieku przyjęto zasadę, żeby nazwy osad pochodziły od imion wójtów zamieszkujących w tej osadzie. Wówczas Wojkowice należały do rycerza Wojsława, a później do jego potomków zwanych Wojkowiczami.

Nazwa Wojkowice podchodzi od formy zdrobniałej imienia Wojciech lub Wojsław, czyli Wojek. Początkowo Wojkowice były bezpośrednią własnością panujących na tych terenach książąt, Piastów Bytomskich, oraz ich spadkobierców.

Później, w XV wieku stały się własnością biskupów krakowskich. O osadzie Wojkowice pierwsze wzmianki historyczne pochodzą z lat siedemdziesiątych XIII wieku. Jest kilka legend mówiących o tym, jak powstała osada.

Ostatnia legenda, wspomina o dwóch dzielnych rycerzach, którzy zwali się Wojko i Komorno, walczących na tych terenach. Gdy polegli w boju, zostali pochowani na jednym z okolicznych wzgórz i stąd wzięły się nazwa Wojkowice Komorne.

O kościółku na Syberce (Będzin)

Po lewej stronie drogi wiodącej z Będzina do Czeladzi, sterczały ongiś na wzgórzu ruiny dawnego budynku, zwanego przez miejscową ludność Syberką, na pamiątkę przymusowego osiedlenia tutaj przez władze rosyjskie kilkunastu rodzin szlacheckich znad Niemna, które za udział w powstaniu listopadowym (1830-1831) skazane zostały na roboty w kopalniach zagłębiowskich. W późniejszych czasach w tym gmachu mieściła się rosyjska komora celna. Ale miejsce to ma być według legendy – uświęcone i innym wydarzeniem.

Zdarzyło się pewnego razu, że Stanisław Szczepanowski, biskup krakowski, co to z rozkazu Bolka Śmiałego został potem porąbany na Skałce w Krakowie, w wędrówce po swej diecezji, znalazł się o wieczorze w okolicach Będzina. Nie chcąc przyjąć gościny u okrutnego pana siedzącego na grodzisku będzińskim, zatrzymał się na nocleg na wzgórzu wyżej wymienionym, u stóp którego widniała osada, która później przeniósłszy się nieco niżej, nazwała się Małym Będzinem czyli Małobądem.

Po nocy spędzonej pod namiotem, zanim ruszono w dalszą drogę, ustawiono na pniaku pośród małej polany leśnej maleńki ołtarzyk, przy którym świątobliwy biskup odprawił mszę świętą. Po skończonym nabożeństwie gromadka ludu z osady, ze szlochem i płaczem zbliżywszy się do biskupa błagała go o obronę przed okrucieństwem pana z zamku.

Biskup wysłuchawszy skarg uciemionych, wyrzekł w proroczym natchnieniu: – Idźcie w spokoju do domów; niedługo skończy się wasza niedola!

Proroctwo spełniło się. Niewiele bowiem upłynęło czasu, a okrutny pan zginął na łowach w puszczy nadprzemszańskiej, a na pamiątkę pobytu w tym miejscu biskupa Szczepanowskiego, wzniesiono na wzgórzu kościółek drewniany, który później został kościółkiem parafialnym, istniejącym aż do końca XV wieku.